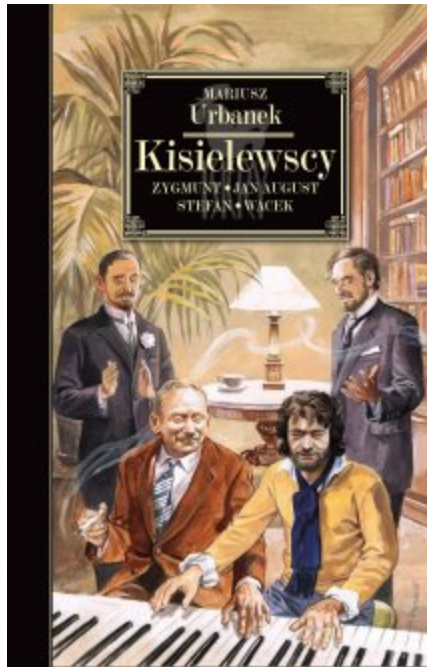


Kisielewscy - Mariusz Urbanek

Sięgająca początków XX wieku barwna opowieść o tej inteligenckiej rodzinie, od dawna zanurzonej w polskiej kulturze i naszej bogatej tradycji literackiej. Galerię wybitnych przedstawicieli rodu otwierają Jan August Kisielewski, dramaturg i jeden z założycieli kabaretu „Zielony Balonik”, a także Zygmunt, pisarz, radiowiec, z przekonania piłsudczyk – ojciec Stefana Kisielewskiego. Centralną postacią książki jest sam „Kisiel”, człowiek wszechstronny: kompozytor, publicysta, pisarz, wybitna osobowość życia politycznego i społecznego, enfant terrible Polski Ludowej. Zainteresowania muzyczne przekazał swemu tragicznie zmarłemu synowi, Wacławowi Kisielewskiemu, znanemu ze wspaniałych koncertów w duecie fortepianowym Marek i Wacek. Obecnie zaś rodzinę reprezentują Jerzy Kisielewski, dziennikarz, i Krystyna Kisielewska-Sławińska, romanistka i tłumaczka.



Sięgająca początków XX wieku barwna

opowieść o tej inteligenckiej rodzinie, od dawna zanurzonej w polskiej kulturze i naszej bogatej tradycji literackiej. Galerię wybitnych przedstawicieli rodu otwierają Jan August Kisielewski, dramaturg i jeden z założycieli kabaretu „Zielony Balonik”, a także Zygmunt, pisarz, radiowiec, z przekonań piłsudczyk – ojciec Stefana Kisielewskiego. Centralną postacią książki jest sam „Kisiel”, człowiek wszechstronny: kompozytor, publicysta, pisarz, wybitna osobowość życia politycznego i społecznego, enfant terrible Polski Ludowej. Zainteresowania muzyczne przekazał swemu tragicznie zmarłemu synowi, Wacławowi Kisielewskiemu, znanemu ze wspaniałych koncertów w duecie fortepianowym Marek i Wacek. Obecnie zaś rodzinę reprezentują Jerzy Kisielewski, dziennikarz, i Krystyna Kisielewska-Sławińska, romanistka i tłumaczka.

Mariusz Urbanek

Kisielewscy. Jan August, Zygmunt, Stefan i Wacek

rok wydania (wydanie drugie): 2015

Wydawnictwo Iskry

Premier Cyrankiewicz przyznał posłowi Kisielewskiemu duże mieszkanie w domu przy alei Szucha (w PRL przemianowanej na I Armii WP). Musiało się w nim znaleźć miejsce dla dwóch fortepianów, krótkiego, przy którym pracował Stefan, i półkoncertowego seilera Wacka.

Dom nie był zwyczajny. Przed wojną samobójstwo popełnił w nim premier Walery Sławek, w czasie wojny mieszkali oficerowie gestapo, po wojnie Stanisław Mikołajczyk i Władysław Gomułka, a po nich rozmaici byli i aktualni funkcjonariusze partyjni. Codziennie Stefan mijał się z nimi na podwórku.

Druga kadencja posła Kisielewskiego przypadła na okres mówienia LAMPA. Drażnił się z nowym sejmem jeszcze bardziej niż z poprzednim. W komisji spraw wewnętrznych, do której się zapisał, jako jedyny głosował przeciw uchwaleniu budżetu Urzędu Kontroli Prasy. Podobnie było podczas głosowania nad ustawą o rybołówstwie morskim.

– Dlaczego? – zapytał groźnie Jerzy Zawieyski, który nie lubił demonstracji.

– Bo ją przeczytałem! – odparł.

Represje za nieprawomyślne przemówienia i głosowania posłów „Znaku” były dotkliwie. Po głosowaniu przeciwko ustawie o upaństwowieniu własności kościelnej na ziemiach zachodnich partia obcięła nakład „Tygodnika Powszechnego” o 10 000 egzemplarzy. Taka sama kara spotkała pismo po podpisaniu przez Kisielewskiego i Turowicza Listu 34.

Czasem coś się udawało. Na przykład utracić, „kosztem niekończących się kłótni i awantur”, pomysł opodatkowania datków rzucanych w kościołach na tacę albo uratować od surowej kary starego szewca oskarżonego o zrobienie pary nowych butów. Jako emeryt mógł tylko reperować stare. To jednak nie rekompensowało Stefanowi poczucia narastającego absurdu sytuacji, w której tkwił.

Któregoś roku złożył interpelację, dlaczego w radiu z okazji Wielkanocy nie było żadnych akcentów religijnych. Otrzymał odpowiedź, że jak najbardziej były. W Wielki Piątek nie nadawano jazzu, a w odcinku cyklu „W Jezioranach” mówiono o pisankach. Nie można było posłom „Znaku” wyraźniej wskazać, gdzie jest ich miejsce w szeregu.

W 1962 roku Kisiel pojechał w podróż do Francji i Niemiec. Nie wiedział, że to ostatni wyjazd za granicę na dziewięć kolejnych lat.

Po powrocie zaczął w „Tygodniku” przekonywać, że pora już przestać bać się Niemców i spróbować się z nimi dogadać. Wypędzeni wcale nie chcą wracać do Prus i na Śląsk, a reszta, skupiona na pracowitym tworzeniu „cudu gospodarczego”, dawno zarzuciła myśli o zmianie granicy na Odrze i Nysie.

Tak się wtedy o Niemcach nie pisało. Rewizjonistyczne żądania ziomkostw, krwiożerczy kanclerz Adenauer, groźba utraty Szczecina i Wrocławia były ulubionymi straszakami polskiej propagandy. Stanowiąc przy okazji argument za umacnianiem „nierozzerwalnych więzi” ze Związkiem Sowieckim, a w szczególności z jego stacjonującą w Polsce niezwyciężoną armią. Bo kto inny obroni Polskę przed napaścią imperialistów?

Kisielewski nieproszony psuł precyzyjną układankę. Za karę Zenon Kliszko polecił zatrzymać mu paszport. Ktoś, kto nie wyjeżdża za granicę, nie może wyciągać niesłusznych wniosków z wyjazdów.

Nie pomógł fakt, że rok wcześniej opublikował kilka pełnych pochlebstw reportaży z podróży do ZSRR, o co z kolei dąsał się prymas. „Zachód używa – Wschód się męczy – notował Kisiel w przekazanym później Ossolineum notesie podróжным. – Po czyjej być stronie! (...) Wróciłem utwierdzony w obowiązku «pośrednictwa duchowego» Polski”.

Nie pomogło nawet to, że jednocześnie z reportażami z Niemiec ogłosił w paryskiej „Kulturze” *Mój testament*, który oburzył emigrację.

„...w dziedzinie podstawowej eksperyment komunistyczny w Polsce powojennej osiągnął sukces – pisał. – (...) Kto nie zna wcale Polski dzisiejszej, nazwijmy ją «komunistyczną», ten nie zna ojczyzny, lecz tylko jej wizję, wizję z przeszłości. Czy to aby nie za mało, zwłaszcza jeżeli chce się na życie w ojczyźnie oddziaływać?”

„Kultura” tekst opublikowała, ale zareagowała obszernym artykułem *Oprotestujemy testament Kisielewskiego*, ten powtórzył swe argumenty w „Tygodniku Powszechnym” („Jestem o b u r z o n y atakiem Kisiela na «Kulturę» i na Pana” – pisał do Giedroycia Konstanty Jeleński), ale w oczach Zenona Kliszki nawet taka lojalność nic nie była warta.

Przez dziewięć kolejnych lat nie mógł wyjechać z Polski, w której robiło się coraz bardziej duszno. Rozwiązany został Klub Krzywego Koła skupiający opozycyjnie nastawioną inteligencję, Jacek Kuroń i Karol Modzelewski zostali skazani na trzy lata więzienia za *List otwarty do partii*, szalała cenzura, na przemiał skazywano całe nakłady wydrukowanych już książek, a „Tygodnik” coraz częściej ukazywał się bez felietonów Kisiela.

Rozgoryczony, postanowił opisać komunizm od środka. Planował dwanaście sensacyjnych powieści: o pijaństwie, erotomanii, chuligaństwie, zboczeniach, obłudzie itd., czyli o zjawiskach, których oficjalnie w Polsce nie było. Napisał – pod pseudonimem Teodor Klon – dwie: *Miałem tylko jedno życie*, potem *Kobiety i telefon*. Zaczęły się ukazywać w „Przekroju”, ale druk wstrzymał kierownik Wydziału Prasy KC PZPR Artur Starewicz, zarzucając powieściom drastyczność.

Kisielewski interweniował, nie przyznając się, że sam jest Klonem, ale usłyszał, że przecież jako katolik nie może czegoś takiego popierać.

Było oczywiste, że na książki o mechanizmach władzy w komunizmie nie znajdzie w Polsce wydawcy. Powieść *Widziane z góry* – tym razem podpisana Tomasz Staliński (Tomasz to był pseudonim Bolesława Bieruta, nazwisko Staliński tłumaczyło się samo) – ukazała się dopiero po czterech latach w Paryżu.

Na przełomie lutego i marca 1964 roku Antoni Słonimski i Jan Józef Lipski zaczęli zbierać podpisy pod protestem przeciwko zmniejszaniu puli papieru na książki i czasopisma oraz zaostrzaniu cenzury. Trzydziestu czterech wybitnych pisarzy i uczonych uznało, że zagraża to rozwojowi kultury narodowej. Zażądali polityki kulturalnej zgodnej z konstytucją i dobrem narodu. Wśród sygnatariuszy byli: Maria Dąbrowska, Maria Ossowska, Antoni Słonimski, Tadeusz Kotarbiński, Stanisław Mackiewicz, Paweł Jasienica, Karol Estreicher, Stanisław Pigoń, Melchior Wańkowicz i Stefan Kisielewski.

W Liście 34 nie było żądań radykalnych, nastroje dopiero zaczynały się zaostrzać. Historyczną reakcję wzbudziła nie jego treść, ale waga nazwisk pod tekstem. W komunizmie nie było dotąd obyczaju zbiorowych demonstracji przeciwko polityce państwa.

Władze zorganizowały akcję podpisywania kontrlistu. Zebrano pod nim prawie tysiąc podpisów. Obok „pisarzy”, o których nikt nigdy ani wcześniej, ani później nie słyszał, podpisali go Wisława Szymborska i

Tadeusz Różewicz. Dziesięciu spośród 34 sygnatariuszy nie wytrzymało presji; napisali drugi list, zaprzeczając represjom, jakie zastosowały wobec nich władze. Tymczasem decyzją cenzury nazwisko Kisielewskiego (obok 11 innych) miało zniknąć z radia, telewizji i tygodników. Nie zmienił tego nawet fakt, że jeszcze przez rok był posłem do sejmu, „najwyższego – jak stanowiła konstytucja – organu władzy państwowej”.

Zapis cenzorski, zakaz wyjazdów zagranicznych, ataki w prasie, na które nie mógł odpowiedzieć, okupowana coraz większą frustracją obecność w sejmie, wszystko to spowodowało, że postanowił wycofać się z czynnej polityki. Odmówił kandydowania do sejmu po raz trzeci. Uznał, że eksperyment polityczny się nie powiódł, a dalsze udawanie, że można na Wiejskiej zrobić coś pożytecznego, jest oszukiwaniem wyborców i samego siebie. Nie chciał dłużej żyrować narzuconego Polsce ustroju.

Jerzy Zawieyski uznał, że Kisielowi się znudziło, Stomma, że zniechęcił się coraz gorszą aurą polityczną w Polsce, a Kliszko orzekł, że nie będzie prosić. Kisielewski napisał, że sejm coraz bardziej przypominał ponurą groteskę.

„W rezultacie niesmak i blisko 10 lat zmarnowanego życia” – podsumował.

Poseł na sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej był przez urząd kontroli myśli kneblowany tak samo brutalnie jak każdy inny piszący. A autorowi najbardziej w polskiej prasie czytanych felietonów patrzono

na ręce szczególnie surowo. Im zaś dalej w lata sześćdziesiąte, tym było gorzej. Zdaniem cenzorów prawie każdym zdaniem naruszał podstawy ustroju i podważał sojusze.

Aluzją mogło być wszystko. O filmie *Rękopis znaleziony w Saragossie* Wojciecha Hasa napisał: „Jest to mistrzowska, z ogromem wyobraźni i pracy zrealizowana wizja spraw i czasów na pozór nie istniejących oraz problemów na pozór nieważnych. (...) Jak się nie ma (do dyspozycji) Polski z lat dziewięćset sześćdziesiątych, to się lubi Hiszpanię sprzed lat kilkuset...”

Cenzura zdecydowała, że felietonu drukować nie można.

Kpił, że tylko innym narodom trafiają się źli przywódcy. Anglikom bandyta Churchill, Amerykanom głupi Eisenhower, Francuzom bałwanowaty de Gaulle. A w dodatku ani Anglicy, ani Amerykanie, ani Francuzi nie mają z tego powodu kompleksów, tylko szargają swoje świętości, ile wlezie. Cała literatura amerykańska jest w istocie antyamerykańska, a Francuzi pisali nieustający paszkwil na Francję. „I jakoś ojczyzny ich źle na tym nie wyszły, przeciwnie, mają dzięki nim dużo chwały w świecie. Bo ojczyzny nie tuczą się ani pochlebstwem, ani frazesem”.

Cenzorzy uznali widocznie, że głupi przywódcy trafiają się nie tylko innym. Tekst nie ukazał się.

Zadrwił z latających talerzy. Przez lata rozbrzmiewał na ich temat chóralny rechot dziennikarzy, bo skoro niewiele jest rzeczy, z których wolno szydzić, to szydzi się z tych, z których można. „Aliści nagle śmiech zamarł im na zbiegających wargach”, pisał, rząd Związku Radzieckiego powołał komisję naukową do zbadania sprawy talerzy.

„Znając dobrze nasz piszący ludek, wiedziałem, że odtąd temat talerzy potraktowany będzie z przykłądną powagą” – pisał Kisiel.

Na punkcie dowcipów z udziałem Związku Sowieckiego cenzura była drażliwa najbardziej. Felieton „spadł”.

Na miejsce zatrzymanego felietonu Kisiel pisał następny, gdy także ten się nie nadawał, wysyłał do Krakowa kolejny. Któregoś razu, zirytowany, trzeci z rzędu felieton napisał o pogodzie. Cenzor długo szukał w tekście godzących w sojusze aluzji. Nie znalazł, co było dla niego dowodem, że autor sprytnie ukrył je przed funkcjonariuszem najlepszego na świecie ustroju. Postanowił Kisiela przechytrzyć. Skonfiskował felieton o pogodzie, a do druku zwolnił tekst zatrzymany uprzednio.

W 1967 roku w Paryżu nakładem Instytutu Literackiego ukazało się *Widziane z góry*, powieść Tomasza Stalińskiego. Maszynopis książki, którą Kisiel zaczął pisać cztery lata wcześniej, przemycił do Paryża Andrzej Micewski. Powieść była pierwszą z cyklu kronik politycznych PRL-u.

„Chciałbym komunizm utrwalić, bo przeminie i nikt nie będzie wiedział, co to było!” – mówił Stefan Kisielewski.

Powstała książka o władzy, która ogranicza świat do ścian gabinetu w Komitecie Centralnym partii. Gdzie ważne są tylko personalne intrygi i pajęczyny wzajemnych zależności, podłości, które się popełniło samemu i te, za które trzeba się zemścić na innych. Utrzymanie władzy jest celem samym w sobie.

Widziane z góry to powieść z kluczem. Po Warszawie krążyła, sporządzona ponoć w KC, lista rozszyfrowująca bohaterów książki. To był koszmar dla bezpieczeństwa, wspominał Giedroyc. Bardzo chcieli się dowiedzieć, kto jest autorem tak świetnie zorientowanym w meandrach i tajemnicach komunistycznej elity. Przyjaciele mylili pogoń, podsuwając myśliwym fałszywe tropy.

„...dla zdezorientowania poufnie mówiliśmy, że autorem jest Putrament” – wspominał Giedroyc. Stanisław Stomma zasugerował podczas wizyty w MSW, że być może napisał ją inny z oficjalnych literatów, Wojciech Żukrowski.

Feliks Widy-Wirski, działacz Stronnictwa Pracy, a później PZPR, napotkany przez Kisielewskiego na schodach domu, w którym obaj mieszkali, zdradził, że SB także jego pytało o Stalińskiego.

– Przyszli do mnie z tego Urzędu i mówią: Wy jesteście czytani, doktorze, a tu taki Staliński napisał książkę. Kto to może być, chyba Kisielewski? Wiecie, co im odpowiedziałem: „Nie, wykluczone. Kisielewski by napisał z furją, z jadem, z wściekłością. A to jest takie łagodne, taka fotografia”. Przekonałem ich.

„Nie pytał się mnie, czy to ja, tylko tak opowiadał” – wspominał w *Abecadle Kisiel*.

Temperatura w bezpiecie jeszcze podskoczyła, gdy okazało się, że powieść Stalińskiego została przez Wolną Europę uznana za najlepszą krajową książkę 1967 roku.

Młodszy dzieciom nie zdradził, że pisze powieści, które ukazują się w Paryżu. Musiał bać się dziecięcej gadatliwości. Jerzy nie wiedział o powieściach Stalińskiego aż do 1972 roku, kiedy w Paryżu zaczął czytać otrzymaną w Maisons-Laffitte książkę i nagle wybuchnął śmiechem. Zaczął rozpoznawać miejsca, w które jeździli razem z ojcem. Sopot i najdłuższe w Europie moło, wielka fabryka traktorów w Ursusie, gdzie ojciec tyle razy jeździł kolejką i rowerem.

Czy wiedział Wacek? Mógł wiedzieć. Był dorosły. Od pewnego momentu wyjeżdżał na Zachód łatwiej i częściej niż ojciec. Woził Giedroyciowi maszynopisy. Byłoby naturalne, że Stefan mówił mu, co zawierają.

[...]

W marcu 1968 roku frakcyjne porachunki w partii zmieniły się w antysemicką nagonkę na inteligencję i studentów. A spór, czy Marzec był prowokacją mającą zamienić „miękkiego” Władysława Gomułkę na dyszące- go żądzą władzy ministra i szefa policji politycznej Mieczysława Moczara, czy wypadkami, które wymknęły się spod kontroli, trwa do dziś.

Preludium była sprawa *Dziadów* wyreżyserowanych w Teatrze Narodowym przez Kazimierza Dejmka. Cenzura zarzuciła spektaklowi demonstracyjną antyrosyjskość (i to w 50. rocznicę rewolucji październikowej!) oraz świadome akcentowanie tych fragmentów dramatu, które mogły podważać przyjaźń polsko-sowiecką. W czasie przedstawienia kilkanaście razy, po kwestiach w rodzaju: „Ach, ginie Polska, dworu nie mamy w Warszawie” czy: „Jak z Moskwy w Polskę nasyłają samych łajdaków stek” – rozlegały się owacje i okrzyki.

Miesiąc po styczniowej premierze zapadła decyzja o zdjęciu *Dziadów* z afisza. Milicja brutalnie rozpędziła pochód studentów, którzy po ostatnim przedstawieniu ruszyli pod pomnik Mickiewicza z transparentem: *Żądamy Dziadów*.

29 lutego odbyło się poświęcone *Dziadom* nadzwyczajne zebranie Oddziału Warszawskiego ZLP. Tuż przed zebraniem ktoś zadzwonił do Kisiela, przestrzegając przed udziałem w spotkaniu. Nie posłuchał.

„Tak więc «spiskowa teoria historii» miała niewątpliwie w marcowych wydarzeniach swoje częściowe zastosowanie” – napisał później.

Podczas dyskusji Leszek Kołakowski powiedział, że doszło do zawstydzającej sytuacji, ponieważ cała dramaturgia światowa, od Ajschylosa, przez Szekspira, do Brechta i Ionesco, stała się zbiorem aluzji do PRL.

„Byłoby oczywiście rzeczą śmieszną, gdybyśmy dzisiaj mówili tylko o sprawie Dziadów – przemówił Kisielewski. – Ja bym tak drastycznie mógł powiedzieć, jeśli ktoś przez 22 lata dostaje po gębie i nagle w 23. roku się obraził, to jest coś dziwnego”.

Mówił o fałszowaniu polskiej kultury i historii, korygowanej według interesu politycznego partii. Spośród poetów Skamandra PRL przejął tylko Iwaszkiewicza, Tuwima i Słonimskiego, ale zniknęli emigranci: Kazimierz Wierzyński i Jan Lechoń. Usunięto z polskiej literatury Miłosza i Gombrowicza, nie istnieje krakowska szkoła historyczna z Szymonem Askenazym i Józefem Szujskim, w czarną dziurę zapadł się Marian Kukiel, nie ma Stanisława Kota ani Adolfa Nowaczyńskiego. Zamiast prawdziwej historii dzieci uczą się w szkole jakichś zupełnych bzdur.

Dyrygowanie cenzurą jest aktem wandalizmu, spointował. To dowód skandalicznej d y k t a t u r y c i e m n i a k ó w wyposażonych w monopolistyczną władzę.

Gdyby Stefan Kisielewski nie miał żadnych innych zasług, trafiłby do historii Polski za te dwa słowa. Były tak celne, że musiały wzbudzić jakąś reakcję władzy. Wzbudziły histerię. Epitetem „ciemniacy” poczuli

się obrażeni partyjni pisarze i funkcjonariusze aparatu, cenzorzy oraz osobiście Edward Gierek i Władysław Gomułka. Kisiel pisał potem nawet o wypaczonej karierze słów, które miały przecież dotyczyć tylko cenzorów.

W odpowiedzi najpierw „Życie Warszawy”, a za nim gazety lokalne opublikowały artykuł Kazimierza Kłosa *Dyktatura ciemniaków*, pełen oburzenia na wichrzyciela i inspiratora burd ulicznych – Kisielewskiego. Jeśli ktoś w Polsce nie wiedział dotąd, kim jest człowiek, który uważa rządzącą Polską elitę za ciemniaków, dowiedział się tego ze szczegółami.

„*Dyktatura ciemniaków* – oto co ma do powiedzenia polskiemu proletariatu człowiek pretendujący do miana pisarza polskiego” – pisał Kłos.

Cała Polska mogła przeczytać, że człowiek, który przez osiem lat piastował mandat posła na sejm PRL, „natrząsał się urągliwie” ze święta 22 Lipca. Jednak „ciemniacy, jak widać, są cierpliwi i tolerują wielkopańskie fanaberie”.

8 marca milicja i ORMO brutalnie rozpędziły zorganizowany na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego wiec w obronie wyrzuconych z uczelni studentów: Adama Michnika i Henryka Szlajfera, których oskarżono o organizowanie antypaństwowych protestów. Posypały się aresztowania (w tym zwolnionych niedawno z więzienia Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego) i represje, w prasie rozpoczęła się antysemicka i antyinteligentka nagonka.

Więc Wyszyński z Kurokiem za pieniądze Mao

Chcieli Żydom zaprzedać naszą Polskę całą.

(...) A znowu Kołakowski jak był jeszcze młody

To Stalina całował w rumiane jagody.

Kisielewski natomiast, jak z prasy wynika

Jest synem naturalnym studenta Michnika,

(...) I takiej to okrutnej chwyciły się zdrady,

Że ichnie zawołanie było Dziady, Dziady!

– głosiły słowa jednej z krążących w Marcu '68 piosenek naśladujących pełen nienawiści język oficjalnej propagandy. Za bitymi studentami ujęła się tylko część pisarzy i posłowie „Znaku”, składając na ręce premiera protest przeciwko brutalności policji, co miało oczywiście wymiar wyłącznie moralny.

Awanturników potępił natychmiast poseł Józef Ozga-Michalski, lichy pisarz, za to wiceprezes satelickiego ZSL.

„...na czele z Kisielewskim są przedstawicielami dekadencjonalnej i elitarniej kultury dla «jaśnie wielmożnych», a zarazem kumają się z siłami imperializmu niemieckiego” – grzmiał z trybuny sejmowej.

Partyjni literaci uznali, że ludzie tacy, jak Kisielewski i Paweł Jasienica, atakują z pozycji reakcyjnych całą Polskę Ludową i jej kulturę. Dlatego nie ma dla nich miejsca w ZLP. I sekretarz komitetu wojewódzkiego w Katowicach Edward Gierek na partyjnym wiecu orzekł, że osobnicy w rodzaju Kisielewskiego służą obcym interesom.

„Bрудna piana, która wypłynęła na fali wydarzeń popaździernikowych przed jedenastu laty, nie została w pełni usunięta z naszego życia” – mówił Gierek. Szykował się już do objęcia schedy po Gomułce, więc nie mógł pozostać na uboczu nagonki.

Wreszcie przyszedł czas na samego Gomułkę. Jeśli chciał utrzymać nadwerężony podjazdowymi walkami w partii autorytet, musiał zaatakować jeszcze brutalniej. I zaatakował.

„Dla każdego, kto zna nazwiska, działalność, postawę polityczną ludzi, których Kisielewski wymienił w swoim przemówieniu, jest rzeczą jasną, że jego ideałem jest restauracja Polski burżuazyjnej, antyradzieckiej...” – mówił.

Wypomniął literatom korzystanie z państwowych stypendiów i dotacji.

„Te dotacje i subwencje powstają z pracy narodu, z pracy tych, których jaśnie oświecony wróg Polski Ludowej – Kisielewski – określił pogardliwie mianem ciemniaków” – słowa I sekretarza partii musiały brzmieć jak wyrok. I jak się okazało – były wyrokiem.

Gomułka dodatkowo nienawidził Kisielewskiego za obronę Janusza Szpotańskiego, autora satyrycznej opery wierszem *Cisi i gęgacze*. Komunistyczny przywódca, występujący w operze w roli Gnoma, uważał ją za ziejący jadem nienawiści reakcyjny paszkwil.

„Utwór ten zawiera jednocześnie pornograficzne obrzydliwości, na jakie może się zdobyć tylko człowiek tkwiący w zgniliźnie rynsztoka, człowiek o moralności alfonsa” – pieklił się z trybuny, wypominając Kisielewskiemu, że był mężem zaufania Szpotańskiego podczas procesu, w którym autora opery skazano na trzy lata więzienia.

Po transmitowanym przez radio i telewizję przemówieniu Gomułki o Kisielewskim i „dyktaturze ciemniaków” mówili już wszyscy. Bo niewiele było i jest państw, których przywódca z najwyższej trybuny polemizuje ze słowami pisarza.

Obrażeni poczuli się także tzw. nieznani sprawcy, którzy zaczęli właśnie odgrywać coraz poważniejszą rolę w polskiej polityce.

Wieczorem 11 marca Kisielewski szedł do Stommów. Wcześniej zadzwonił, kiedy będzie. A telefony takich ludzi jak Stomma i Kisiel od dawna musiały być na podsłuchu.

Na Kanonii, z tyłu katedry św. Jana, czekało na niego kilku mężczyzn. „Wygłosili do mnie przemówienie ideologiczne, a potem powiedzieli: A teraz, skurwysynu, za to dostaniesz” – opowiadał Kisielewski. Zaczęli bić, rękami i pałkami, a kiedy się przewrócił, kopać. Kopali fachowo, po całym ciele, oszczędzając głowę.

Podczas kolejnej sesji sejmu Jerzy Zawieyski, broniąc „Znaku” zaatakowanego („narzędzie reakcyjnych wpływów, polityczna resztówka”) przez partyjnych posłów, wziął w obronę także Kisielewskiego. Mówił, że właśnie Gomułka, człowiek, którego też kiedyś chciano postawić po- za narodem, powinien rozumieć ludzi, którzy w ferworze, emocjach używają słów nieprzemyślanych, czasem nawet obraźliwych.

„Te pięści, które spadły na Kisielewskiego – mówił – spadły na przedstawiciela kultury polskiej. Stało się to po raz pierwszy w Polsce Ludowej”.

W stenogramie sejmowym zanotowano reakcję posłów: „szum na sali – śmiechy i głos: płakać trzeba, nie śmiać się”. Zawieyski jeszcze podczas tej samej sesji zrezygnował z członkostwa w Radzie Państwa. Rok później wyskoczył z okna szpitala.

Kisiel stał się jednym z głównych negatywnych bohaterów marcowej propagandy. Obok „znanego z zamordyzmu” Stefana Staszewskiego, „członka bandy Łupaszki” Pawła Jasienicy, „pozującego na Czwartego Wieszcza” Antoniego Słonimskiego, jak pisał o nich Wojciech Giełżyński, stanął „wojujący katolik, czołowy adwokat dobrych, przedwojennych czasów” Stefan Kisielewski.

Podczas masówek dla klasy robotniczej nazwisko Kisielewskiego było przez partyjnych sekretarzy wymieniane jednym tchem z nazwiskami Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego, Adama Michnika i „syjonistami, którzy zdradzili Polskę”.

Ten festiwal nienawiści zapowiadał to, co miało się wydarzyć. Władza ludowa miała sprawdzone metody niszczenia ludzi. Stefan stracił pracę w wydawnictwie „Synkopa”, zerwano z nim umowy na muzykę do filmu, pozbawiono możliwości pisania w „Tygodniku” (cenzura reagowała błyskawicznie, ostatni felieton ukazał się 3 marca '68) i w apolitycznym wydawałoby się „Ruchu Muzycznym”. W socjalizmie wszystko było polityczne.

Represje były dotkliwe, ale skazanie na niebyt w roku 1968 nie było już tak proste jak piętnaście lat wcześniej. Nie było jeszcze drugiego obiegu wydawniczego, ale były już przetarte ścieżki do Maisons-Laffitte pod Paryżem, siedziby „Kultury” i Instytutu Literackiego. Żelazna kurtyna, za którą władza chciała zamknąć nieposłusznego felietonistę, zaczynała rdzewieć.

Wykorzystując darowany mu nieoczekiwanie czas, Stefan zaczął pisać dziennik. Coś „w rodzaju «pamiętników żółciowca», gdzie wyładowuje się drobne wściekłości, których nie sposób wylać gdzie indziej” – notował.

Dziennik był zamiast. Zamiast cotygodniowej porcji wyrzekań w „Tygodniku”, nawet jeśli miały one charakter coraz bardziej zastępczy („...z powodu cenzury pisało się o niczym, to jednak można było jakoś wyładować się...”), zamiast poważnej publicystki, często zamiast kontaktów z ludźmi („...w Krakowie było mi łatwiej – miałem swoje środowisko, zaplecze, przyjaciół. W Warszawie jest demonicznie, bardziej po sowiecku”).

Rzeczywistość nie dawała nadziei. Podśluch w mieszkaniu, nieodstępujący ubecy na ulicy, klaustrofobiczna atmosfera beznadziei, brak obowiązku systematycznej pracy, niemożność wyrwania się w świat, czego zazdrościł nawet Wackowi.

„Szczeniak się bawi jak byk – niech ma, pies go ogryzł” – pisał. Choć bał się, że chcąc uderzyć w niego, komunistyczna władza może próbować złamać rozkwitającą karierę Wacka.

Jest to fragment książki *Kisielewscy*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Iskry